

Ewa Przewięźlikowska

UZDROWIENIE
JEST DAREM
BOGA

Żyję z rakiem

Wydawnictwo WAM

Wstęp

To będzie opowieść autobiograficzna o mojej trzynastoletniej walce z rakiem.

Mam na imię Ewa. Mam sześćdziesiąt dwa lata. Jestem zwyczajną kobietą – żoną, matką dwóch synów, babcią sześciorga wnucząt – obecnie emerytką. Z wykształcenia jestem magistrem chemii, jednak nie zawsze pracowałam w tym zawodzie. Mieszkam razem z mężem w jednym z małopolskich miast, w Olkuszu, we własnym domu z pięknym ogrodem. Lubię śpiewać, opowiadać wnukom różne historie, gotować, pisać wiersze, czytać ciekawe książki. Interesuję się Biblią. Jestem wierząca i zaangażowana w ruchy religijne.

W jakim celu poświęcam swój czas i uwagę ewentualnych czytelników? No cóż, nie miałam takich planów, ale życie zmusiło mnie do tego, że zostałam ekspertem do walki z nowotworem złośliwym jamy brzusznej. Moja specjalizacja trwa już trzynaście lat.

Od początku mojej choroby szukałam stosownej literatury dla pogłębienia swojej wiedzy o możliwościach leczenia, podejścia do różnych wyzwań i trudności w codziennym funkcjonowaniu. Zależało mi na przekazie autentycznym, od osoby, która miała podobne doświadczenia i nadal żyje.

Nie znalazłam takiej książki. Odpowiedzi na wiele pytań znalazłam w salach szpitalnych i poczekalniach, w modlitwie, w oczach moich bliskich.

Jest dużo poradników medycznych i beletrystyki, ale dla moich potrzeb okazały się mało przydatne. Nie natknęłam się na przykład nigdy na książkę napisaną przez osobę ze stomią.

Długo wahałam się, czy opisać moje doświadczenia, ale przekonała mnie ostatecznie myśl, że być może to będzie taki mały „owoc”, którego Pan Bóg ode mnie oczekuje. Co z tego wyniknie – to już będzie tak, jak zechce mój Najwyższy Nauczyciel.

Mój „przypadek” jest skomplikowany. Przeszłam przez prawie wszystkie możliwe terapie medyczne, m.in.: siedem operacji na otwartym brzuchu, radioterapię, chemioterapię, zabiegi endoskopowe, hormonoterapię, antybiotykoterapię celowaną, wyprowadzenie nefrostomii, urostomii i kolostomii. Tak, żyję teraz z trzema workami przymocowanymi do brzucha i nadal cieszę się z życia!

Oprócz klasycznej, wysokospecjalistycznej medycyny, podczas mojej choroby korzystałam z różnych propozycji medycyny niekonwencjonalnej. Wypróbowałam zioła andyjskie, hipnozę, bioenergoterapię, ziołolecznictwo, homeopatię itp. Wszystkie te paramedyczne „wynałazki” pomagały trochę – ale tylko na chwilę.

Największą pomoc długotrwałą i niezawodną otrzymałam wraz z Eucharystią i oczywiście przez profesjonalne leczenie onkologiczne.

Ten tekst to w pierwszej kolejności podziękowanie dla Pana Boga za to, że dał mi już tyle szans i nadal mnie wspiera w podnoszeniu z kolejnych upadków, to również podziękowania dla mojego kochanego męża za trwanie przy mnie i wszelką pomoc, i zrozumienie przez cały ten czas, dla wyjątkowej rodziny: synów, synowych, wnuków i krewnych, którzy nigdy mnie nie zawiedli, dla wspólnoty modlitew-

nej Odnowy w Duchu Świętym i dla wspaniałych lekarzy i pielęgniarek z Kliniki Ginekologicznej przy ul. Kopernika i Centrum Onkologii w Krakowie, dla mojej lekarki rodzinnej doktor Małgorzaty i pielęgniarki Ewy, która od wielu miesięcy opatruje moje rany – za ich profesjonalizm i skuteczne leczenie, dla kapłanów, którzy budzili moją słabą wiarę w Boga.

„Przeciwnik” – rak jest wyjątkowo trudny, przebiegły, bezwzględny i nieprzewidywalny!

Z drugiej strony – tylko i aż – wiara w Boga, miłość, poświęcenie, złote ręce chirurgów, wiedza lekarzy i moja wola życia. Mieszają się i przenikają obronne czynniki duszy i ciała.

Twierdzę, że w mojej ciężkiej chorobie jestem szczęściarą. Spotkałam na swojej drodze tylu życzliwych i mądrych ludzi – dopatruję się w tym Bożego planu.

Po tylu dramatycznych przejściach sama się dziwię, że nadal żyję, funkcjonuję prawie bez przeszkód i mogę cieszyć się z kochanego męża, z wnucząt, synów, synowych i z mojego pięknego miejsca na ziemi.

Zdaję sobie sprawę z konieczności odejścia z tego świata, ale przyznam, że tak bardzo mi się nie spieszy. Przecież wieczność zaczyna się już tutaj na ziemi. Jest tutaj z nami żywy Bóg i widocznie chciał mnie jeszcze pozostawić na ziemi. Nie znamy swojego limitu życia – i bardzo dobrze! Zawsze możemy mieć nadzieję na dłuższe lata.

Kiedy miałam dwadzieścia siedem lat i byłam w ciąży z drugim synem, źle się czułam – prosiłam Boga, żeby mnie uleczył, abym mogła urodzić i zobaczyć chociaż moje dziecko, a potem niech będzie, co ma być...

Teraz już wiem, że dobroci Pana Boga nie można ograniczać. Nie tylko urodziłam i wychowałam wspaniałych

synów, ale przeżyłam bez większych kryzysów zdrowotnych całe pięćdziesiąt lat. Poważnie zachorowałam dopiero w 2000 roku.

To Pan Bóg dał nam życie i stale je podtrzymuje. Czy nam się to podoba, czy nie, to On jest Panem życia, w każdej formie i zna czas naszego odejścia. Gdy miałam silne objawy choroby i wydawało mi się, że zbliża się koniec – Pan Bóg mnie uzdrawiał i znowu czułam się nieźle. Innym razem, uśpiony rak wydawał się ostatecznie pokonany, ale nagle znowu zaciekle atakował.

I jak tu żyć na takiej „bombie zegarowej”?

Moja odpowiedź brzmi – normalnie! Na nic przyda się nasza panika. Lęku nie można całkiem wyeliminować, ale strach przed śmiercią może ją tylko przyspieszyć.

Co w takim razie trzeba zrobić?

Przywołać na pomoc Pana Boga, zrobić dokładne badania, poddać się koniecznej terapii. Lekarze dobrze wiedzą, co można zrobić w konkretnej sytuacji. Pacjenci nie muszą się na wszystkim znać. Dobrze jest jednak powierzyć diagnozę i działanie lekarzy Duchowi Świętemu. Modlitwa na pewno bardzo się tutaj przyda, a prawda o chorobie na prawdę wyzwala z lęku przed nieznanym i umożliwia podjęcie właściwego leczenia.

Pismo Święte mówi:

Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli (J 8, 32).

Spotkałam się z opiniami, że taka praktyka jest skuteczna tylko dla osób głęboko wierzących. To kolejny mit! Pan Bóg uzdrawia nas z taką wiarą, jaką mamy aktualnie.

Na Msze Święte w intencji uzdrowienia przychodzą często przypadkowi, słabo wierzący, a nawet deklarujący się jako niewierzący ludzie, za namową najbliższych, dla

„świętego spokoju” i bywa, że to oni, a nie rozmodlone osoby są w cudowny sposób uzdrawiane.

Dla Boga nie ma „przypadków beznadziejnych”. Jeśli zechce, może nas przemienić duchowo i fizycznie – natychmiast lub stopniowo. Jako nasz Ojciec wie, co jest dla nas najlepsze i pragnie naszego dobra.

Jeśli nie mogę ostatecznie pokonać choroby, to muszę ją oswoić, zdyscyplinować, nie oddać jej wszystkich dziedzin mojego życia. W każdym położeniu warto Bogu dziękować i zawsze można się komuś przydać. Nawet leżąc na szpitalnym łóżku, można rozdawać dobre słowa, modlić się wspólnie, służyć radą. A kiedy jest bardzo ciężko – przyjąć z wdzięcznością i pokorą posługę rodziny, lekarzy, pielęgniarek, kapłana.

Dzieląc się moimi przemyśleniami i moim doświadczeniem – wierzę, że mogę pomóc osobom, które znalazły się w podobnej sytuacji. Mogę dać innym promyk nadziei.

Moja opowieść jest w sumie optymistyczna, nie ze względu na spektakularne zwycięstwo nad rakiem, ale na, jak dotąd, wyrównaną walkę z objawami choroby i radość życia mimo wszystkich przeciwności.